

Janusz Sławiński

Trzy postrachy

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (21), 1-8

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN

dwumiesięcznik 3, 1975

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

Trzy postrachy

Czy można zdezwuować czyjeś poglądy, nie narażając się na niebezpieczeństwo merytorycznej z nimi rozprawy? Zupełnie łatwo: należy osobnikowi, który coś twierdzi, dowodzi czy propaguje, zakomunikować możliwie stanowczo, że jego prawo do wypowiedzania się jest więcej niż problematyczne. Nie wchodzimy w to, czy ma słuszność w danej materii, czy jej nie ma — oświadczamy, że jej nie może mieć, ponieważ swoją postawą, naganymi uczynkami czy intencjami wykluczył się po prostu z klasy osób zasługujących na to, by mieć słuszność. Jakoż w dyskusjach naukowych korzysta się nader często z tego odwiecznego chwytu nierzetelnej erystyki — i to w sposób na ogół daleki od wyrafinowania. Oczywiście nikt nie powie: studium Iksa o rymach w poezji Staffa jest najzupełniej bezwartościowe, ponieważ Iks w młodości jeździł tramwajami na gapę. Już prędzej można się spodziewać, że uczonej demograf uznający rodzinę typu 2+3 za model w naszych warunkach optymalny, zostanie przywołany do porządku przypomnieniem, że sam w ciągu piętnastu lat małżeństwa nie doczekał się nawet jednego potomka. Nie o takie przypadki nam jednak chodzi. Wywołują one radosne podniecenie u obserwatorów, ale nie są czymś więcej jak tylko zabawnymi nadużyciami normy dyskusowania akceptowanej przez środowisko, wybrykami pozbawionymi istotniejszego znaczenia. Istnieją wszakże środowiskowo usankcjono-

nowane tryby odmawiania racji bytu tezom czy poglądom — ze względu na to, że ich rzecznikom można przypisać określone właściwości negatywne. Tryby, które — bezrefleksyjnie najczęściej — uznajemy za najzupełniej naturalne i stosujemy, gdy zajdzie potrzeba, licząc na przychylną opinię kolegów. Niestuszość pewnych wypowiedzi jest dla nas oczywista a priori, stanowi coś w rodzaju „ramy modalnej”, która wyznacza wartość tego, co się w niej zawiera. Rozpoznając ową „ramę modalną” — nie musimy już wnikać w treść przedmiotową komunikatu: możemy ją z czystym sumieniem odrzucić. Różne bywają — rzecz prosta — motywacje odrzucenia, ponieważ rozmaite są „ramy modalne” niestuszości. Każda z nich odpowiada pewnemu uschematyzowanemu wyobrażeniu nadawcy przekazu. I tak: nie ma szans na przyjęcie wypowiedzi, której autor zostaje zakwalifikowany jako *dyletant*; wyłącznie na słowa nagany z góry zasługuje wypowiedź osobnika, o którym powiada się, że jest *snobem*; tylko oburzenie lub drwina mogą być odpowiedzią na wywody kogoś, o kim twierdzimy, że jest *modnisiem*. Oczywiście nie tylko *dyletant*, *snob* i *modniś* skazani są na los tak nieprzychylny. Bywa, że staje się on również udziałem osób podpadających pod jakieś inne kategoryzacje. Można wszakże zasadnie twierdzić, że jedynie ci trzej są dzisiaj spetryfikowanymi wzorami bohaterów negatywnych środowiska naukowego. Innych skazuje się na niestuszość z wyroków doraźnych, często najzupełniej przypadkowych, wydawanych na podstawie praw o zasięgu lokalnym czy koniunkturalnym, tracących moc w innych okolicznościach. Tamci natomiast podlegają wyrokom, których uzasadnienia są jednoznacznie i powszechnie uznawane w społecznym świecie nauki. Określić kogoś mianem *dyletanta*, *snoba* czy *modnisia* znaczy po prostu powiedzieć mu: „twoje teksty są dla nauki bez znaczenia; jest rzeczą nad wyraz irytującą, że nie potrafisz tego pojąć”.

Obronne reakcje zainteresowanych łatwo w każdym wypadku przewidzieć. Z reguły protestują przeciw zastosowanym kwalifikacjom ich postaw. Utrzymują, że spotkała ich niezasłużona krzywda, pomstują na niesprawiedliwość osądu, gorliwie starają się udowodnić, że są zupełnie inni niż się przypuszcza. Każdy ma na uwadze własny przypadek, a nie ogólną zasadę osądzania. Tę bowiem akceptuje po prostu ze swymi sędziami. „Istnieją *dyletanci* (*snoby*, *modnisie*) — któż zaprzeczy? Ich wypowiedzi w obszarze nauki nie liczą się — to oczywiste. Ale dlaczego ja zostałem wśród nich umieszczony? —

to bijąca w oczy pomyłka!”. Dziecinna to jednak obrona i tylko dziecko może wierzyć w jej skuteczność. Nikt nie uwzględni protestów osądzonego, który swoją niepomysłną sytuację pogorszy jeszcze śmiesznością. Szansę powodzenia (i to też odległego w czasie) mogłaby mieć jedynie taka obrona, która kwestionując samą normę osądzania, zmusiłaby środowisko do spojrzenia na nią od nowa jako na *problem*. Ktoś, kto nie spłoszyłby się, gdy nazwą go snobem, lecz odpowiedziałby: „jestem nim, ale to nic zdrożnego, ponieważ snobizm może całkiem korzystnie wpływać na rozwój problematyki badawczej”; drugi, który oświadczyłby: „zarzucacie mi uleganie modom, ale to przecież dzięki takim jak ja język naszej dyscypliny pozostaje tworem żywym, a nie lamusem”; inny, który na zarzut dyletantyzmu zareplikowałby: „działalność dyletantów jest nader pożyteczna jako jedna z form przewycięzania dezintegracji wiedzy naukowej” — wszyscy oni skłoniliby nas — prędzej czy później — do zastanowienia się nad zasadnością naszej strategii konstruowania bohaterów negatywnych. Odpowiedzi ich nie sposób byłoby skwitować wzruszeniem ramion — godzą przecież w racje naszej solidarności profesjonalnej. Wystarczy, że jeden *tak* odpowie, a w jego ślady pójdą zaraz następni... I oto sędzia ufny w siłę swoich kodeksów sam nie wie, kiedy zostanie zmuszony do wykonywania gestów obronnych. Jeśli nie będzie głupi — potrafi wtedy jakby od zewnątrz popatrzeć na to, co wydawało mu się dotąd naturalne i nie wymagające uzasadnienia.

* * *

Dyletant jest bohaterem negatywnym społeczności naukowej w takim samym stopniu, w jakim jej bohaterem pozytywnym pozostaje specjalista. Są to figury mające w znacznej mierze status relacyjny: funkcjonują jako członki opozycji. Specjalista ma dużą kompetencję w stosunkowo małej dziedzinie, dyletant ma niewielką kompetencję w licznych (nieraz) dziedzinach. Wiedza pierwszego jest gruntowna, ale mało użyteczna w towarzyskiej rozmowie, drugi dysponuje wiedzą powierzchowną, ale dającą się świetnie wyzyskać dla celów konwersacji. Tamten ma skłonność do absolutyzowania „punktu widzenia” swojej macierzystej dyscypliny, ten — przeciwnie — cieszy się różnorodnością „punktów widze-

nia” różnych dyscyplin. Dyletant nie jest w stanie dokonać odkrycia (chyba, że przez przypadek) przeobrażającego jakąś teorię naukową; odkrycia, nowe — zasadne — koncepcje teoretyczne i techniki interpretacyjne — są dziełem badaczy-specjalistów: nikt nie zaprzeczy, że rozwój wiedzy naukowej stanowi funkcję ich wysiłków. Toteż dyletantów nie uznaje się za prawowitych przedstawicieli nauki; żadna dyscyplina nie przyzna się do nich; działają na bliżej nie określonych peryferiach państwa Nauki: typowi bezpaństwowcy, ale bez nansenowskiego paszportu. Specjalista ma w głębokiej pogardzie dyletanta — to oczywiste; ale za nic mają go również instytucje zewnętrzne wobec nauki: mecenas i użytkownicy. Porad zasięga się u specjalistów nawet w najbardziej banalnych sprawach, z nich składają się — obowiązkowo — wszelkie ciała opiniodawcze. Ministra czy dyrektora ministerialnego departamentu oświadczającego, że idla opracowania jakiegoś problemu powołał komisję złożoną z wybitnych dyletantów — uznano by rychło za szaleńca.

A przecież nie wykluczone, że byłby to właśnie człowiek mądry i trafnie kalkulujący. Specjalista wyprowadzony z macierzystej dziedziny zainteresowań okazuje się często bezradny. Potencjał jego wiedzy fachowej tylko w owej dziedzinie naprawdę się liczy; poza jej ramami może wręcz ograniczać swobodę ruchów (myślowych), rodzić sztywność reagowania, utrudniać porozumienie z ludźmi, którzy nie subtelność dociekań naukowych mają na względzie, lecz na przykład działania „wdrożeńiowe”. Kolektyw złożony z dziesięciu wysoko cenionych specjalistów, z których każdy wnoszący w posagu wyrafinowanie metodologiczne właściwe swojej dyscyplinie, nie zawsze będzie najlepszym ciałem doradczym dla instytucji przygotowującej program jakiegoś kompleksowego przedsięwzięcia społecznego. Jest aż nadto prawdopodobne, że w wyniku obrad tego uczonego grona powstałoby dziesięć różnych programów — równie jednostronnych i partykularnych. W takim wypadku jedenasty bywa albo sumą tamtych — i w ogóle nie nadaje się do realizacji, albo powstaje niezależnie od nich... podając w wątpliwość samą zasadę radzenia się u specjalistów. Potrzeba pośredników jest w tego typu okolicznościach najzupełniej oczywista. Powinni to być ludzie nie zanadto przywiązani do określonej dyscypliny wiedzy, umiejący pokazać niejako z lotu ptaka interesującą dla „decydenta” problematykę różnych gałęzi nauki, uprzytomnić mu stopień i zakres uży-

teczności tej problematyki. Jest to rola, którą w sposób najbardziej udatny mogliby odegrać właśnie rzeczoznawcy-dyletanci. Wprawdzie dyletant daleko mniej wie od specjalisty, ale stosownie do tego ma też mniej profesjonalnych uprzedzeń. W pewnych dziedzinach praktyki społecznej, gdzie w grę wchodzi kształtowanie sytuacji o wielu parametrach, znaczenie światłego dyletantyzmu wydaje się szczególnie duże. Mam na myśli takie dziedziny, jak oświata na poziomie powszechnym, polityka kulturalna, popularyzacja wiedzy... Ale również w obrębie samej nauki (dotyczy to w szczególności nauk społecznych i humanistycznych) dyletantyzm wcale nie jawi się jako zjawisko jednoznaczne, a tym bardziej zasługujące na pogardę. Dyscypliny naukowe nie rozwijają się dzięki dyletantom — to prawda. Czy jednak wszyscy uznawani za specjalistów mają wpływ na ich ewolucję? Jeśli dyletanta przeciwstawia się twórczemu badaczowi, który odcisnął zauważalny — choćby dla nielicznych — ślad w jakiejś gałęzi wiedzy, sprawa jest prosta. Ale jeśli przeciwstawia się go szeregowym wyrobnikom nauki, dłubaczom, epigonom, przeżuwaczom, kompilatorom, jakich w każdej dyscyplinie pod dostatkiem? W zestawieniu z nimi objawia swoją główną siłę: wielostronną ciekawość. Brak wiedzy szczegółowej rekompensuje szerokością spojrzenia. Wie dużo rzeczy po łebkach, niefachowo, ale jeśli jest zdolny (wśród dyletantów też są różne szarże...) może z nich budować zasługujące na uwagę kompozycje. Na uwagę specjalistów, którzy często w taki właśnie sposób zyskują wstępną orientację w problematykach i technikach badawczych innych specjalności naukowych. Działania dyletanta sprzyjają komunikacji między dyscyplinami: przenoszą z jednej do drugiej właściwe im strategie i taktyki stawiania pytań, kojarzą odmienne „punkty widzenia”. Oczywiście: prawdziwie dla nauki pożyteczna integracja nie zrealizuje się nigdy na poziomie przedsięwzięć dyletantów. Ale to oni przecierają dla niej drogę, przerzucając prowizoryczne mosty nad przepaściami, zasypując rowy i przebijając ścianki między tunelami.

* * *

Jak wiadomo, motywacje snobistyczne przypisujemy osobnikom dwóch kategorii. Snob to dla nas zarówno ten, który pragnie dostać się do naszego „towarzystwa”, nie mając po

temu odpowiednich danych, jak i ten, który będąc pełnoprawnym członkiem naszego „towarzystwa”, aspiruje do udziału w jakimś wyżej przez siebie ocenianym, naśladowując powierzchownie jego maniery. W pierwszym wypadku chcemy ośmieszyć kogoś „gorszego”, kto usiłuje nieudolnie małpować nasze zwyczaje, gesty, mowę; szyderstwo ma mu zakomunikować, że jego wysiłki są daremne. Mamy go w pogardzie właśnie dlatego, że uznaje nas za lepszych od siebie dotychczasowego; śmiech tu jest funkcją owej pogardy. Natomiast w drugim wypadku atak kierujemy na kogoś, komu nie możemy wybaczyć, że cudze jest dla niego „lepsze” od naszego-swojskiego. Jego aspiracje odczuwamy jako zagrożenie wartości i standardów zespalających „towarzystwo”, do którego wspólnie należymy. Chcemy ośmieszyć sztuczność, z jaką podrabia obcy styl bycia, który mu imponuje, cudaczność gestu, nienaturalność mowy. Ale śmiech to bynajmniej nie beztroski i swobodny, przeciwnie — łączy się z niepokojem i poczuciem niebezpieczeństwa. Nie ma na celu odepchnięcia snoba: to przecież on sam usiłuje wyrwać z naszego obszaru. Ma być dla niego karą za lekceważenie tego, co budzi nasze przywiązania. Ośmieszony (a więc oczyszczony) powinien wrócić na łono wspólnoty, gdzie jego właściwe miejsce.

Dla opinii środowiska naukowego problem stanowią oczywiście osobnicy drugiej kategorii. Ci, o których mniema się, że za udział (zresztą wątpliwy) w jakimś wyżej szacowanym „towarzystwie” gotowi są zapłacić rezygnacją z prawdy, stosowności i słuszności głoszonych opinii. Przy czym prawda, słuszność i stosowność to właściwości wyraźnie określone w n a s z e j tradycji: dyscypliny, kierunku metodologicznego, szkoły badawczej czy po prostu instytucji (uniwersytetu, katedry, zakładu). Zaś wyżej szacowane „towarzystwo” to jakaś inna dyscyplina, inny kierunek, inna szkoła, inna problematyka i terminologia, inna instytucja. Wcale nie twierdzimy, że są one pozbawione własnych sprawdzianów prawdy, stosowności i słuszności; być może mają takowe (dopuszczamy wielkodusznie), ale my ich nie znamy i wcale nie chcemy poznać. Natomiast z pewnością wiemy, że nie jest w stanie ich osiągnąć n a s z człowiek. Powodowany snobizmem porzuca lekkomyślnie znane sobie miary i usiłuje stosować się do cudzych. Jednak te cudze nieublaganie się mu wymykają. W rezultacie więc nie ma żadnych: jego opinie do niczego się nie relatywizują; są wyprane z wartości, ponieważ ich sens sprowadza się wyłącznie do ich naśladowczej formy.

Uwrażliwienie na snobizm jest niewątpliwie wykładnikiem stopnia konserwatyzmu i bezwładu danego środowiska. Im bardziej nieublaganie odnosi się do wykroczeń snobistycznych, tym mniejszą wagę przywiązuje do przyrostu problematyki i języka swojej dyscypliny: za nieprzekraczalną normę skłonne jest uważać aktualnie spetryfikowany stan wyposażenia badawczego; tym silniej zaprzątnięte jest ono krzątaniem defensywną: obroną status quo. I przeciwnie: im silniejsze są tendencje ofensywne danego środowiska i jego wiara w wartość innowacji i zmian — tym mniejsze uczulenie na motywacje kierujące poszukiwaniami badaczy; snobizm jako motor działania jest tak samo dobry jak każdy inny, pod warunkiem, że przynosi zdobycze. Nie ważne, z jakich powodów gdzieś podążasz, nawet jeśli owego „gdzieś” nie znają nasze mapy; liczy się prawdziwie to, co stamtąd zdołałeś nam przynieść.

Snobizm jest żywiołem antykonserwatywnym: nad niezadowoleniem z tego, w czym się jest, góruje w nim chęć nawiązania styczności z czymś, co się uważa za „lepsze”. Snob to człowiek w drodze ku temu „lepszemu”. Denerwuje nas, że nie czuje się usatysfakcjonowany naszym towarzystwem. Czy jednak inność, do której sam usiłuje się przybliżyć, nie jest zarazem innością nam przybliżaną? Czy w ogóle możemy dowiedzieć się, kim jesteśmy, nie przeglądając się w żadnej inności?

* * *

Modniś to najskrajniejszy ze snobów. Snob-goszysta. Jego poczynaniami kieruje wyłącznie żądza nowego. Bezustannie — i wciąż od początku — podejmuje trud przymierzania się naśladowczego do dyscyplin, języków badawczych, terminologii — aktualnie uchodzących za atrakcyjne. Za nic ma wierność i stałość: bezceremonialnie porzuca kolejne miłości, nie troszcząc się o ich konsekwencje. Modniś nie dopracuje się nigdy trwale znaczących osiągnięć, ponieważ te wymagają pewnego uniewrażliwienia na nowość. Może co najwyżej liczyć na sukcesy krótkotrwałe i to tylko w wypadku, gdy uda mu się utrafić w stosunkowo wczesną fazę mody. Rozprzestrzenianie się jakiejś mody zmusza go do uważnego rozglądania się za inną — dopiero powstającą.

Nie lubimy modnisiów, ponieważ ich działalność dezorganizuje ustabilizowane warsztaty badawcze, wnosząc do nich zamieszanie, wrzawę i poczucie niepewności. Ale przecież działalność ta ma również stronę pozytywną: uprzytamnia relatywność upodobań metodologicznych, rozszerza pole ofert, które możemy przyjąć lub odrzucić, wzbogaca i odświeża słownik pojęciowy naszej dyscypliny. Ci, co biadają nad modnisiostwem, sami też ongiś los swój związali z jakąś modą. Tyle, że w niej zastygli i znieruchomieli — niezdolni już do podjęcia dialogu z innymi modami. Modnisie wykonują za nas (choć nie zawsze dla nas) pracę niebezpieczną: wychylają się ku niepewnemu i zmiennemu, doświadczają nowości, w każdym momencie ryzykują tym, co zdobyli dotychczas.

* * *

Postawom (i sytuacjom) dyletanta, snoba i modnisia wspólny jest brak przywiązania do układów ustalonych i wyraźnie delimitowanych. Wszyscy trzej przekraczają granice dzielące różne układy (specjalności badawcze, teorie naukowe, mody, środowiska) i sytuują się p o m i ę d z y. Ich funkcjonowanie wnosi do życia naukowego moment — jakże potrzebnego — dynamizmu. Nie powinni kryć się po kątach przed swoimi prześladowcami, lecz śmiało odpowiadać na krytykę i szyderstwo: jestem dyletantem, jestem snobem, jestem modnisiem — i dlatego jestem wam potrzebny. Nie boję się waszych straszaków. Śmieszność mnie nie przeraża, ponieważ jest w świecie rozłożona sprawiedliwie i równomiernie. Śmieszna jest nie tylko powierzchowna erudycja dyletanta, ale w równej mierze ograniczoność specjalisty. Nie tylko maniera snoba, ale także rejtanowska gestykulacja obrońców rytuału środowiskowego. W równym stopniu gorączkowa aktywność modnisia, co gderliwość mających mu za złe ciotuń i wujaszków. Rozejrzyjcie się wokoło, a śmiech wami zatrzęsie...

Janusz Sławiński